

Ponownie największy kryzys.

Kryzys. Jaki kryzys? Największy kryzys od lat 30-tych ubiegłego stulecia. Tak jak w poprzednich kryzysach tak i obecnie nadajniki establishmentu straszą nas albo recesją albo największym kryzysem. Mówiąc o największym kryzysie nie ma się najczęściej na myśli kryzysu z lat 30-tych w Związku Sowieckim, gdzie jedynie na samej Ukrainie z głodu zmarło kilka milionów. Jak podaje „Czarna Księga Komunizmu” w takim Charkowie dla przykładu ubyłoby wówczas 120 tys. mieszkańców. Bynajmniej nie wyemigrowali. To dopiero był kryzys. Nas się jednak straszy kryzysem z lat 30-tych w Ameryce. Zanotowano wówczas podwyższoną liczbę samobójstw, do tego bezrobocie i bieda. Ale w porównaniu do tego kryzysu w Zw. Sowieckim, to był to zaledwie kryzysik. Nie wiadomo dlaczego ten autentycznie poważny kryzys wymazano z historii gospodarczej świata, a przecież można by nim dopiero straszyć gawiedź.

Wydaje się, że tego autentycznie dużego kryzysu, gdzie kilka milionów padło z głodu nie bierze się poważnie pod uwagę. Mogłoby się wydawać, że Zw. Sowiecki szybko podniósł się z kryzysu i już w połowie lat 40-tych ubiegłego stulecia o wiele więcej niż czterech pancernych z czerwoną gwiazdą zmierzało w kierunku zachodnim po wówczas niedokończoną autostradzie wrocławskiej. Nie obyło się to rzecz jasna bez wsparcia Stanów Zjednoczonych, które 4 lata wspierały Sowiety, by je potem 40 lat zwalczać. Podobnie zresztą jak w Afganistanie. Najpierw wspierano mudżahedinów by ich później zwalczać.

Ale wróćmy do naszego „największego kryzysu od lat 30-tych ubiegłego stulecia”. Przypomnę, że ten kryzys związany z dot.com też był największy. I każdy poprzedni też. A nam przystaje żyć za każdym razem w powtarzającym się i za każdym razem w coraz to większym kryzysie. Dlatego coś należy zrobić, aby kryzys taki już się więcej nie powtórzył - twierdzą nasi globalni planiści.

Na początku w nadajnikach establishmentu unikano jak diabeł święconej wody takich pojęć jak kryzys albo recesja. Nie chcąc wywoływać złych duchów, gdy trzeba było użyć takiego pojęcia, starano się to robić w sposób opisowy. W pewnych przypadkach zamiast wpisywać słowo kryzys wpisywano k., a tam gdzie recesja wpisywano r. Na nic jednak zaklinanie węża przez naszych szamanów. Upiory przebudziły się na dobre, gdy część certyfikatów okazała się bez pokrycia.

Taka sama sytuacja zdarzyła się w o wiele większym kryzysie niż ten w Ameryce w latach 30-tych, ale nie aż tak tragicznym jak w Zw. Sowieckim również w latach 30-tych ubiegłego stulecia. W 1976 roku ekipa Gierka zupełnie nowatorsko wprowadziła certyfikaty na białe złoto, czyli cukier. Na podstawie takiego papieru wartościowego (bonu) można było zakupić kilogram cukru. Za dobrze zabezpieczonego na starość uchodził wówczas ten, kto posiadał w domu np. pod kanapą jedną albo dwie tony cukru. Za ten towar można było załatwić wszystko. Białe złoto jest bardziej praktyczne od tego prawdziwego złota. W przypadku takiego kryzysu jak ten w Zw. Sowieckim zawsze cukier można spożyć i uratować się od śmierci głodowej. Prawdziwe złoto w czasach prawdziwego kryzysu i głodu jest bez wartości. Z czasem w epoce Edwarda i Wojciecha wprowadzono również papiery wartościowe na pozostałe artykuły jak np. masło, kiełbasa, mięso, czekolada, wódka, buty itd. itp. Fłaszka stała się towarem przetargowym. Papier wartościowy na zakup wódki stał się realnym pieniądzem. Dla lojalnych, wiernych i posłusznych na wyższych posadkach czekały dodatkowo w komitecie partyjnym papiery wartościowe na dobra luksusowe i symbole statusu np. samochody. Takim nowym Wartburgiem można było jeździć ze dwa - trzy lata a potem sprzedać po cenie wyższej niż się go zakupiło wcześniej. Zupełnie tak samo jak to jeszcze do niedawna robiono z nieruchomościami w Stanach. Można było sobie w takim domku pomieszkać ze dwa lata a potem sprzedać po wyższej cenie. W realnym socjaliźmie spekulowano czym się da. W filmach Bareji jeżdżono do Tajlandii na zakupy zegarków. Kupowano je w kilogramach. Nie było nudno w tym kryzysie, który trwał od 1976 do powiedzmy 1989/92. System splajtował, gdy się okazało, że

papiery wartościowe są bez pokrycia. Stały się w zasadzie papierami bezwartościowymi. To, że państwa demoludu były niewypłacalne i stały na granicy bankructwa jest bez znaczenia. W naszej dobie modernistycznej i post-modernistycznej, czyli po śmierci Józefa Stalina nie splajtowało żadne państwo. Ostatnim chyba takim przypadkiem były Niemcy w 1948 po przegranej wojnie. A wcześniej jeszcze Niemcy splajtowały po upadku cesarstwa chyba było to w 1923 roku. W naszych czasach jest już inaczej. Państwa współczesne mogą być niewypłacalne, ale nigdy nie splajtują. Również i państwom realnego socjalizmu nie pozwolono splajtować. Ba, część długów nawet im umorzono.

W roku 2001 powinien był wypaść z gry jeden zawodnik, który do dzisiaj nie spłacił wielu długów. Imię jego Argentyna. Do tabu współczesnego świata należy to, ażeby na temat takich paskudztw oficjalnie nie rozmawiać. Zapewne jest to kamień węgielny naszego systemu. Państwa - właściciele niewolników nie mogą zbankrutować, bo przecież „wicie, rozumiecie” to mogłoby spowodować reakcję domina. Państwa należy kochać i należy być nawet gotowym poświęcić za nie swe życie, bo przecież jesteśmy ich własnością. Ogłoszenie bankructwa i niewypłacalności państw - właścicieli niewolników, tak jak ma to miejsce w przypadku Smitha, który nie spłacił hipoteki albo w przypadku Kowalskiego, który nabrał kredytów w CHF nie wchodzi w rachubę. Wyobraźmy sobie: państwo x zadłużone na miliardy (prawie każde) albo nawet i na biliony, które nie spłaca długów w terminie ustalonym. Przychodzi komornik, mienie idzie pod młotek, Kowalski/Smith wykupuje swego właściciela. Następuje uwłaszczenie niewolnika podobnie jak to miało miejsce w przypadku chłopca-niewolnika za panowania cara Aleksandra II w 1864 roku. Ale do tego nie dopuści współczesny establishment.

Spośród wielkich graczy w 2008 roku wypadła z gry jedna spora wyspa na Atlantyku. Jest podobno niewypłacalna. Jak z rogu obfitości płyną w ramach solidarności miliony od innych właścicieli niewolników, po to aby uniknąć reakcji domina. W kolejce po zapomogi stoją inni właściciele niewolników. O płajcie pomimo niewypłacalności państw i o wyzwoleniu niewolnika tak, jak to zrobił z przyczyn koniunkturalnych car Aleksander II, bo mu się grunt palił pod nogami, na razie nie może być mowy. Niektóre państwa sprawiają wrażenie kukiełek, gdzie ktoś wyżej pociąga za sznureczki. Ale pomimo tego państwa są poważnymi graczami. Posiadają to, czego nie ma nikt na tzw. wolnym rynku. Państwa mają jedną podstawową przewagę w stosunku do innych graczy globalnego rynku: posiadają określoną liczbę niewolników z numerem podatkowym, ubezpieczenia społecznego itd. itp., te wszelkiego rodzaju NIP-y i PESEL-e, jak go zwał, tak go zwał. To właśnie dzięki takim metodom można niewolnika zmusić do działania. Inne podmioty tzw. globalnego wolnego rynku nie mogą nikogo przy pomocy ubezpieczenia społecznego, VAT-u lub innego postmodernistycznego bata zapędzić do roboty. Podstawą perswazji jest umowa. Smith-niewolnik może się postawić innemu podmiotowi wolnego rynku. Swemu właścicielowi nie. Odmowa płacenia haraczu swemu właścicielowi (w zależności od sposobu liczenia i w zależności od państwa haracz wynosi od 60% do 80% rezultatów pracy niewolnika) jest bardziej surowo karana niż targnięcie się na życie lub zdrowie innego bliźniego sorry, innego niewolnika.

Co by się więc złego stało, gdyby ci wszyscy właściciele niewolników nagle zaczęli masowo plajtować? Przecież oznaczałoby to wyzwolenie niewolnika. Cóż złego jest więc w tym kryzysie? Chyba jedynie to, że nasi właściciele splajtować nie mogą.

Maciej Jachowicz